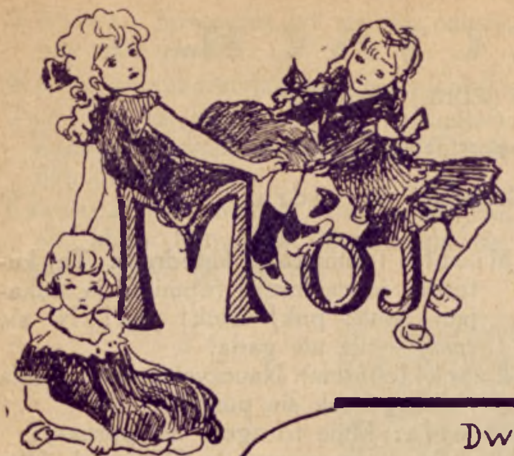


MÓJ ŚWIATEK

DWUTYGODNIK DLA DZIEWCZYNEK.

Nr. 1. 1. września 1797.

Dodatek do Nr. 14/15 „Dziś i Jutro".

DO NOWEJ PRACY!

Patrzycie w okno, a szare mury przypominają Wam co chwila, że minęły złote, kochane wakacje. Zamykacie oczy i wyobrażacie sobie, że wicher szumi wokół Was — to znowu, że patrzycie na szemrzące łany zbożowe, albo, że że ulewa różnobarwnych liści spada na głowę, ramiona i tysiącem szeptów do nóg Wam się kładzie. Albo, że nad rzeką stoicie i już, już macie zdejmować sandały, by po wodzie pobrodzić, albo i Ralfa, nicponia, wykąpać nim mamusia zobaczy...

Otwieracie oczy i tak Wam żal tych minionych wakacyj!

Ale to nic! — Bierzcie się, mimo wszystko, z radością do pracy, chętnie witajcie mury szkolne, naukę Bogu polećcie i z zapałem wypełniajcie nią dni.

Znajdziecie w niej przyjemności o jakich nawet nie marzycie. Nowe wiadomości rozszerzą Wasz umysł — a samo borykanie się z trudnościami nauki i szkolnej karności, przełamywanie woli skłonnej do lenistwa, opanowywanie uwagi lubiącej się rozpraszać, napełnią serce weselem, płynącem z przekonania, że stajecie się coraz lepszemi, milszemi Bogu, ludziom — pożyteczniejszemi Ojczyźnie.

NA POWITANIE.

Złotawe liście lecą z drzew,
Ogród opustoszał wraz,
Ptaszęcy zwolna milknie śpiew
To na was, dzieci, czas!

Szkolne czekają ciche sale
Na wasze młode głosy,
By z nich modlitwa szła wytrwale
Wraz z pracą pod niebiosy.

M. R.

PO WAKACJACH.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE [1]).

Scena przedstawia wnętrze izby szkolnej.

Tablica, Miotła, Ławki, Katedra.

Tablica (zawsze gderliwa): Dziś początek! (do miotły) Moja droga!...

Miotła (zawsze wesoła): Co się stało?

Tablica: Co? — Podłoga!...

Miotła: Więc podłoga?...

Tablica: Nie dość czysta!...

Miotła: Gderasz! Rzecz to oczywista! Żyć nie umiesz bez gderania... Nikt mi nigdy nie przygania, tylko ty! Tylko ty! (Tańczy po izbie i zamiata).

Miotła (do ławek, rozstawionych byle jak): Do szeregu stańcie wy!... (Ławki suną do szeregu).

Miotła: Oh, jak żwawo się zbiegają! Oh, jak równo w szereg stają! A ja tańczę... tak... tak... tak...

Tablica: Rety! Rety! Jeszcze brak...

Miotła: Oho! Będzie nowa bieda!... (tańczy).

Tablica: Gdzie jest gąbka? Gdzie jest kreda?

Gąbka (wpadając ode dzzwi): Biegnę. Wszak się nie spóźniłam? Drogę całą w mig przebyłam!... (do ławek, dygając) Wiecie? Mnie zrobiło morze!...

Ławki (chórem): Morze! Morze! Oh! mój Boże.

Tablica (gderliwie do gąbki): Przestań gadać! O tem — potem! Pierwej skończymy z tym kłopotem! Kredy jeszcze niema wcale...

Kreda (biegiem ode drzwi, kłaniając się): Jestem, jestem!...

Tablica (z ulgą): Doskonale!...

Miotła (oglądając kredę): Co za postać! Co za gest!

Ławki (chórem): No! Nareszcie wszystko jest.

Miotła (obmiatając katedrę [2]): Ta katedra, co za mruk! (obmiata ją stukając) Stuk! puk! Stuk! puk! Ni się ruszy — nic nie gada!

Ławki (chórem): Nauczyciel na niej siada i dlatego tak się puszy!...

Miotła: Mnie to zgoła nie poruszy!

Tablica (z rozpaczą): Olaboga! Olaboga!

Miotła: Cóż tam znowu!

Gąbka i Kreda (przerażone): Moja droga!...

Tablica: Ależ dzwonek? Gdzie jest dzwonek? Co od rana jak skowronek woła!

Miotła: Prawda! Bieda nowa!

Kreda: Rzecz poważna! Ani słowa!

Gąbka: Hm... bez dzwonka to nie szkoła!

Tablica: Kto rozpocznie? kto zawoła?

Dzwonek (wbiega z pośpiechem): Ależ jestem, biegnę pędem! Dziń! Dziń! Dziń! Dziń! Jak się macie?

Gąbka: Wszyscy zdrowi!

Miotła: Witaj, bracie!

Dzwonek: Dziń! Dziń!

Tablica (uroczyście): Teraz stańmy rzędem! (do miotły) Miotła niech się tu nie pląta!

Ławki (chórem): Miotło! Miotło! Idź do kąta!

Miotła (wchodzi wesoło do kąta): Mnie i w kącie dobrze będzie! Wesołemu — dobrze wszędzie.

Gąbka: Kto da znak?

Kreda: No, Tablica!

Miotła: Tak! Tak! Tak! (Głosy dzieci za sceną).

Miotła: Oh, już dziatwa nasza bieży!

---

[1]) Rolę sprzętów szkolnych grają dzieci przy pomocy odpowiedniej charakterystyki, wywołanej kawałkami pomalowanego kartonu i t. p. O ścisłe naśladownictwo tu nie chodzi.

[2]) Katedra nie gra wcale.

Tablica: Sprawcież wy się jak należy, gdy dam znak!...

Wszyscy (chórem): Tak! Tak! Tak!

Tablica (z przejęciem do dzwonka): Zadzwoń, dzwonku nasz kochany. (Dzwonek dzwoni).

Tablica (do miotły): Stój spokojnie, nie idź w tany. (Miotła prostuje się, jak żołnierz na warcie).

Tablica (do ławek): Wy też — równo! (Do kredy i gąbki) My — dygamy! (W tej chwili wpadają dzieci).

Dzieci (chórem): Szkoła, szkoła!

Tablica (z dygiem): Oh! Witamy! (Kreda i gąbka też dygają, miotła podryguje).

KONIEC.

M. Dynowska.



Z MOJEGO ŚWIATKA.

Chociaż to były pierwsze dni września, jednak upał bardzo dawał się we znaki. Stary ogrodnik Onufry co chwila pot z łysiny ocierał to rękawem koszuli, to wielką chustką kraciastą — i chłopcy doskonale wiedzieli, że tej ważnej czynności przerywać mu nie wolno pod żadnym pozorem. Smażenie powideł na wsi! wy sobie nie wyobrażacie co to za awantura, co za zdarzenie wcale nie gorsze od przygód wojennych! Jeszcze w długie zimowe wieczory wspomina się je często — naprzykład: „To było przed smażeniem powideł“, albo: „wtedy, gdy Onufry zrywał śliwki na powidła“.

Można sobie wystawić, co wyrabiali wówczas Witek z Julkiem! Do pomocy w dokazywaniu mieli Hesię, która napewno otrzymałaby pierwszą nagrodę za figle, tylko niestety nie znalazł się jeszcze nikt, coby dziecinne dokazywanie nagradzał.

Otóż ta zacna trójka w dniu gotowania powideł poprostu głowy potraciła; stary Onufry twierdził głośno, że „dostali bzika“, ale to już przesada. Oni tylko chcieli być wszędzie obecni — więc jak trzy barwne plamki kręcili się na tle ogromnego gazonu; nosy mieli suto umorusane powidłami, a ilekroć Onufry kichnął i potem uroczyście w swój fular nos wycierał — co trwało dobry kwadrans, jak każda tego rodzaju uroczystość — to trzy buzie pochylały się nad kotłem, a milczenie, jakie wówczas zalegało, niepokoiło Onufrego do tego stopnia, iż czynność swą przerywał, zobaczywszy zaś co się święci, solennie obiecywał, że jak tylko dobry patyk znajdzie, „to nie pożałuje, choć to panicze!“ Jednak teraz coś się pokręciło: oto Jurek nogę podniósł i końcem sandała opiera się o krawędź kotła, a Hesia z Witkiem laską mieszają powidła, zaś pani Pyzalska, gospodyni, warząchwią próbuje, co było rzeczą wielce karygodną, zważywszy okoliczność, iż pan Onufry od czterdziestu lat gotował powidła i nie lubił, by nawet jaśnie pani próbowała, „boć przecież nie nowina mu to warzenie — jak mówił — i wie, co robi“. To też co roku o tym czasie sprzeczali się z panią Pyzalską nie na żarty, właśnie o to próbowanie. W tym roku chyba sprzeczki nie będzie, bo oto pani Pyzalska oblizała

kilkakrotnie warząchew i zgodnym uśmiechem zawyrokowała, że „chyba ujdzie...“ — a pan Onufry ani głowy nie odwrócił.

Co za utrapienie z temi dziewuchami! posłał Kasię już dobre półgodziny temu z garnkiem powideł, które miała „przesypać“, jak mówił Witek, do glinianego słoja — a ona sobie nie wraca, jakby to do południa było daleko. Nic tylko chyba zbierze stare kości i pójdzie jej poszukać. Już Witek z Jankiem przeczuli, że będzie coś, czego jeszcze nigdy nie było; bo to chyba pierwszy raz pan Onufry poszedł

— Witek, słyszysz, może złodziej, taki „powidlany“ — ale w biały dzień!...

— Albo duch! — dorzuca Hesia i aż jej zimmo w to upalne, rozżarzone południe.

— A ja wam mówię, że to ani złodziej „powidlany“, ani duch! — Otwiera pan Onufry piwnicę i boi się, czy może wzrok mu tak słabnie na starość, czy też to prawda, że Kasia klęczy przed stołem, gdzie zwykle leżą sery i gomółki — pani Pyzalska była specjalistka, sławna w czterech powiatach z wyrobu serów! — Kasia klęczy przed stołem, ale głowa gdzie?



... trzy buzie pochylały się nad kotłem...

szukać — i nie jaśnie pana, ani jaśnie pani, ani rządcy, tylko zwyczajnej Kaśki.

— Witek, Jurek, lecę z wami — czekajcie! — woła Hesia.

— Tylko nie piszcz, bo to obława — baby zaraz piszczą! — docina Witek.

Ale chwila była zbyt ważna, by tracić czas na sprzeczki. Umilkły głosiki, tylko tupot sześciu nóg rozlegał się po alei, jako wstęp do obławy na Kasię.

— Witek, Witek, Onufry już przy piwnicy, lećmy prędzej!

Bez tchu trzy barwne plamki dopadły drzwi, z poza których rozlegał się głuchy łoskot, jakby ktoś garnek toczył po ziemi, jak piłką.

bo po stole biega z wielką szybkością duży, gliniany garnek.

Panu Onufremu dech w piersiach zaparło na dobre — słowa wypowiedzieć nie mógł, a tyle miał do powiedzenia! Wyręczyła go pani Pyzalska, która wyrosła jak z pod ziemi i nie mogła przeboleć swoich serów.

Zaczęła się cała historja: jak to Kasię posłano, jak to nikomu wierzyć nie można, jak to „łakomstwo pokaranie swoje znalazło“, tylko garnka szkoda!

Zamierzył się pan Onufry kijem akurat wtedy, gdy pani Pyzalska była w połowie swej opowieści. Skorupy rozsypały się po podłodze, a dzieci zgodnym chórem za-



...przecież tak chodzić nie mogła!

wołały: „To nie Kasia“. To jednak była Kasia, tylko zupełnie tak wyglądała, jak kula z powideł.

A jak się to stało? słuchajcie! Niosła sobie garnek spokojnie, przelała w piwnicy powidła i już miała wracać po nowe, gdy skusiło ją coś, żeby zajrzeć do środka jeszcze raz. Garnek był oblepiony powidłami, Kasia wybierać zaczęła palcem, potem już tylko językiem, a gdy głębiej dostać nie mogła, wsadziła całą głowę. Myślała, że krztynę poliże i wróci zaraz do roboty. Ale głowa wyjść nie chciała, ani rusz! próżno Kasia potrząsała, tłukła po stole garnkiem — nawet o pomoc wołać nie mogła. W tej smutnej chwili wszedł pan Onufry do piwnicy, a za nim pani Pyzalska. Siódme poty uderzyły na Kasię, ale rady nie było innej, jak roztłuc garnek na jej głowie — przecież tak chodzić nie mogła!

No, i czyż to nie awantura smażenia powideł na wsi?

M. R.

MNISZĘTA.

— Uf! jakie gorąco! sapał pan Mniszek lekarski. Istotnie łączka przydrożna cała była skąpana w słońcu. — Najlżejszy wietrzyk nie poruszał listkami, nawet głęboki rów, nad którym rósł Mniszek, wyschnięty był do szczętu.

— A poco się dobrodziej w taką pierzynę otulił? — żartowała wyczka polna, przechylając się figlarnie przez źdźbło trawy, po którem się pięła.

— Że też waćpannie nigdy nie zabraknie konceptu, odciął niezadowolony mniszek, jakkolwiek w gruncie serca kochał, jak wszyscy, wesołą zawsze śmieszkę. „Bóg — tak — chce; Bóg — tak — chce“, jak srebrna sygnaturka na wieży dzwoniły pojednawczo ukryte gdzieś w trawie, drobne, liljowe dzwonki.

— Zapewne, że Bóg tak chce, rozmyślał mniszek, boć On wszystkiem rządzi. Ale nie rozumiem poco na taki upał każe mi dźwigać grubą watówkę? Niezadowolenie mniszka wydawało się naprawdę usprawiedliwione. Małe jego brunatne owocki tkwiące w zagłębieniach koszyczka, posiadały na końcu, każdy z osobna puszystą kitkę, a że owocków było dużo, więc zrobiła się z tego cała kulka, nie dopuszczająca do wnętrza ani odrobiny świeżego powietrza.

— Gdybyż nas było choć trochę mniej, szeptały małe owocki, ale tak cicho, aby mama nie słyszała; bo pani Mniszkowa cieszyła się ogromnie swoją liczną gromadką i bardzo ją martwiły wszelkie niesnaski między dzieciakami.

Sądziła, że sprawiał to zły wpływ otaczających kwiatków, bo gdy mniszęta były maleńkie nigdy im takie myśli nie przychodziły do główek. Mama stroiła je wtedy w złociste sukienki, przybrane dołem puszystemi frendzelkami, a za-

kończone u góry wysokim z tyłu, a otwartym z przodu kołnierzem. Na jego tle wdzięcznie rysował się rozwidlony słupek, wystający z rurki zrośniętych pręcików. Robiła to jednak nie z próżności, ale z potrzeby.

Piękne sukienki mniszął nęciły ku sobie przelatujące pszczółki, a te, sięgając do miodu, ukrytego w samym dole, walały sobie główki i grzbiet pyłkiem, wysypującym się z dojrzałych pręcików. Siadłszy potem na innym kwiatku mniszka, ocierały grzbiet zawalany pyłkiem o rozwidlony słupek i w ten sposób go zapylały. Pani Mniszkowa dobrze wiedziała, że bez zapylenia słupka nie doczeka się nigdy tej pociechy, jaką czują rośliny, gdy ich kwiatki zamieniają się w owocki.

Te owocki, padłszy na ziemię, mogą wypuścić ze znajdującego się wewnątrz nasionka kiełek; z którego wyrośnie cała wielka roślinka.

Ale z mniszętami było tak, jak to często bywa z dziećmi. Były grzeczne, dopóki cieszyły je śliczne złociste sukienki. Teraz grymasiły, bo im zawadzały kitki puszyste. A przy tem czekała je wielka zmiana. Po raz pierwszy i ostatni w życiu, miały udać się w podróż.

A było to tem ciekawsze, że nie posiadały nóżek, a ich rodzice nie mogli się ruszyć z miejsca będąc korzeniami wrośnięci w ziemię.

— Jak to się stanie, i czy naprawdę się stanie? było przedmiotem częstych rozmów między mniszętami. Niecierpliwy braciszek, stojący na brzegu koszyczka, kilka już razy próbował skłonić przelatującego motylka lub brzęczącego bąka, aby go wziął na skrzydełka, ale motylek musiał szukać miejsca odpowiedniego do złożenia jajek, a bąk odburknął tylko niegrzecznie.

Jednego dnia zerwała się zawierucha. Wówczas zrozumiał mniszek poco mu Pan Bóg kazał nosić puszysty pióropusz. Wiatr, przelatujący nad nim, pochwycił owocki za piórka leciutkie i zaniósł je daleko, daleko przez pola i lasy, aż hen na trawnik wielkiego miasta, aby tam opowiadały biednym dzieciom, które nigdy wsi nie widziały o cudach rodzinnej ich łączki.

I pokazało się, że liljowe dzwoneczki miały rację!

M. S.

WESELE RYDZA.

Żeni się dziś krasny rydzyk
Z surojadką białą,
Więc sprawiają weselisko
Huczne jak przystało.

Stare chrząszcze dmą w puzony,
Komar we flet dmucha
Żabki „kum, kum“ cienko nucą,
Takt bije ropucha.

Wróbel z trznadlem ćwierka głośno
Z tanecznej uciechy,
Pszczoły niosą słodkie miody,
Wiewiórki orzechy.

Kwiatki ścieżki umaiły,
Co do ślubu wiodą.
Ten młodego pana widzieć,
Ten chce pannę młodą.

Naprzód suną konwalijki,
Potem jaskry, bratki,
Z pola bieży mak i kąkol
Biegną też bławatki.

Nawet biedny szary piołun
Z drobną miętą gada
— Czy ty widzisz? — Popatrz no się!
— Co to za parada!

Rydz ustroił się w kapelusz
Nowiutki, czerwony,
Surojadka nałożyła
Swe białe robrony.

Pieczareczki są drużkami,
Drużbami — maślaki,
A za nimi idą tłumnie
Krewniaczki, krewniaki.

Zaś borowik, co najpierwszy
W zabawie i w radzie
Marszałkuje, jak przystoi
Weselnej paradzie.

Stare dęby przytupują
Z radości, ochoty,
A nad lasem jasne słońce
Sypie promień złoty!

M. Dynowska.

NIEPROSZONY GOŚĆ.

Pewien urzędnik na Cejlonie wydawał obiad proszony, który z powodu upału spożywano na werandzie. Nagle wśród ogólnej rozmowy pani domu rozkazała cichym głosem służącemu, by postawił miskę z mlekiem w pobliżu jej krzesła. Obecni struchleli, wiedzieli bowiem, że jest to przysmak, któremu żaden wąż się nie oprze. Rzeczywiście wielki okularnik, należący do najbardziej jadowitych wężów indyjskich, wypełzł z pod krzesła pani domu i zabrał się do mleka. Stojący obok służący skorzystał z tego, by prętem bambusowym zmiażdżyć mu kręgi.

Tak to spokój i panowanie nad sobą odważnej kobiety uratowały ją od śmierci.

„GRZECZNOŚĆ nie jest nauką łatwą, [ani małą.
Niełatwą, bo nie na tem kończy się, jak [nogą
Zręcznie wierzgując, z uśmiechem witać [lada kogo.
— — — — — — — — —
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu [inna
Bo nie jest bez grzeczności i miłość [dziecinna.
— — — — — — — — —
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
I każdemu powinną uczciwość wyrządzić".

Tak mówi o grzeczności nasz największy poeta, Adam Mickiewicz.

A ciebie jakich form grzeczności uczono? Czy o nich pamiętasz?

GRA TOWARZYSKA.

Pasikonik i mrówki.

Mrówki tworzą koło, trzymając się za ręce. Pasikonik stoi w środku, trzymając w ręku zwiniętą karteczkę, na której poprzednio napisał nazwę jakiejś roślinki, lub ziarenka n. p. „proso". — Następnie zwraca się do jednej z mrówek, mówiąc: „Zabrakło mi pożywienia — czem mogłabyś mnie posilić?" Mrówka odpowiada: „Mam trochę pszenicy" (albo grochu i t. p.). — „Dziękuję" — mówi pasikonik i zwraca się z tem samem zapytaniem do innej mrówki. Gdy ktoś odgadnie nazwę napisaną na karteczce pasikonika — staje na jego miejscu, pisząc nową nazwę na karteczce i zadając dalej pytania. Dawny pasikonik przyjmuje rolę mrówki.

ŁAMIGŁÓWKI.

ŁAMIGŁÓWKA WIERSZYKOWA.

Dwie Marysie chwaliły się
Przed sąsiadką Zosią,
Jaką rządną, pracowitą,
Każda jest XXXXXXXXX.
    Pierwsza mówi: „Ja zamiatam,
    Sprzątam, przędę XXXXX,
    Co podarte, to XXXXXXXX,
    Co brudne XXXXX".
„I ja także nie XXXXXXXXX",
Druga na to rzecze,
„Dzieci bawię, jeść XXXXXX
Wiem jak chleb się XXXXXXX".
    „Ej, gosposie — mówi Zosia —
    Pochwalę was rada
    Tylko same sięXXX XXXXXXXX,
    Bo to brzydka XXXX".

Która z Czytelniczek zgadnie jakie wyrazy trzeba wpisać w miejscach oznaczonych krzyżykami, to niech cały wierszyk ładnie przepisze i prześle do redakcji, podając swoje imię, nawisko, wiek i adres.

Za dobrze rozwiązane zagadki i łamigłówki redakcja będzie przysyłała nagrody, tem ładniejsze, im kto więcej dobrych i ładnie napisanych rozwiązań nadeśle.

ŁAMIGŁÓWKA PRZYSŁOWIOWA.

KOT — NORA — STAJEW —
ETMU — NAP — GÓB — JADE.

W każdym wyrazie przestawić litery w ten sposób, aby złożyły znane przysłowie.

OD REDAKCJI.

Młodsze dziewczątka nasze skarżyły się czasem, że „Dziś i Jutro" za trudne, że poważnych artykułów nie rozumieją.

Dajemy Wam teraz pisemko łatwiejsze. — Czy się Wam podoba? — Możecie także pisywać do redakcji, układać łamigłówki i nadsyłać rozwiązania — będę Wam odpisywała i drukowała łamigłówki, które same wymyślicie, jeśli będą dobrze ułożone i starannie napisane. — Jak to będzie przyjemnie zobaczyć swoją pracę wydrukowaną! —

Kto chce stale, co dwa tygodnie otrzymywać to nowe pisemko p. t. „Mój Światek" niech przyśle zaraz do redakcji **1 zł 50 gr.** Opłaci tem prenumeratę do końca 1927 r.

Jak się zbierze większa ilość prenumeratorek, to od Nowego Roku będzie to pisemko jeszcze tańsze. Adres Redakcji „Mojego Światka": Kraków, ul. Starowiślna 3.

TREŚĆ.

Warunki prenumeraty „Mojego Światka" od 1. września 1927 do dnia 1. stycznia 1928 zł. 1·50. Dla prenumeratorek „Dziś i Jutro" zł. 1·20. Numer pojedynczy 20 groszy, dla prenumeratorek „Dziś i Jutro" 15 groszy.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.